



Krystyna Janda

Z pięknej brzydka, czyli sztuka charakteryzacji i operatorstwa

Szanowni Państwo!
Chciałabym napisać coś o zamalowywaniu, domalowywaniu, zmienianiu, czyli kilka historyjek dotyczących charakteryzacji. Przyszło mi to do głowy po telefonie mojej siostry, wzywającej naszą mamę, aby postawiła jej dziecku bańki. Z bańkami to było tak: byłam 3, 4 dni przed nagraniem „Niemców” Kruczkowskiego, w warszawskiej telewizji, w reżyserii Andrzeja Łapickiego. Grałam Ruth. Bałam się tej roli jak diabli, roli owianej jedną z największych legend w polskim teatrze, roli „znaku”, roli granej zwykle wspaniale przez największe aktorki itd., itd... Nagle zachorowałam. Wysoka temperatura (*prawie majączyłam*), żadne lekarstwa nie pomagały. Mama zdecydowała – bańki. Pomogło i pierwszego dnia nagrań byłam w telewizji w całkiem dobrej formie, gotowa do walki... Przebrałam się w szlafrok, żeby się nie charakteryzować, i w tym momencie wszyscy zawyli widząc moje plecy... Ja o tym nie pamiętałam, zajęta tylko zbliżającym się nagraniem, że mam na plecach kilkanaście czarnych krążków, a wszystkie suknie zaprojektowane i uszyte do tej roli mają odkryte plecy.

Zaczęła się prawdziwa bitwa o zamalowanie, tysiące pomysłów, sposobów, bez rezultatu. W ciągu całego nagrania nie odwróciłam się do żadnej kamery nawet bokiem, stałam przyklejona do ścian, zasłon, z żadnej sceny nie „wyszłam”, nie mówiąc o tej słynnej, w której Ruth wychodzi nonszalancko i z pogardą, odprowadzana przez gestapo... Jeszcze do dziś mam ochotę przeproszać reżysera, kolegów i realizatorów za to, co przeze mnie przeżyli.

Ta historia przypomina mi też „Modrzejewską”, gdzie w wielu scenach z braku pieniędzy, czasu i innych powodów od nas niezależnych, wiele moich kostiumów było upiętych na mnie agrafkami, a cudowna Iza Konarzewska, która dokonywała cudów jako kostiumolog w tym filmie, zszywając to na mnie, błagała, abym się broń Boże nie odwróciła tyłem.

Z planu „Modrzejewskiej”. Od lewej: Ja (Krystyna Janda), mój mąż (Edward Kłosiński – w ciemnych okularach), reżyser Jan Łomnicki, Krzysztof Kolberger (siedzi).

Ruth w „Niemcach”.
Pod szlafrokiem – bańki.

Drobiazg (!) szczególnie w scenach dramatycznych, przeważnie związanych z dużym, gwałtownym ruchem.

A teraz à propos zamalowywania czy domalowywania, czy jak kto woli – cudów charakteryzacji – o których krążą legendy. Chciałabym powiedzieć wszystkim Paniom – widzom, które – na pewno – wiedzą!!! Wiedzą, że w telewizji czy w filmie ze starą da się zrobić młodą. Dziewczynom, które marzą o karierze i wiedzą, że z brzydkiej da się zrobić ładną, z grubej – chudą, itd. itd. To nieprawda!

Uroda na ekranie nawet nie jest w ścisłej relacji z urodą w ogóle. Kamera i fotografowanie prawie zawsze łączy się ze światłem i generalnie jest to sprawa światła, jak ono ukladą się na twarzy, sywetce. Jak sklepienie jest czoło, pod jakim kątem są kości policzkowe i jak cała ta „architektura” wygląda oświetlona. Do tego dochodzi ruch tych płaszczyzn, wyraz oczu!!!, sposób, w jaki one „żyją” w świetle, a także to coś nieuchwytnego, niedefiniowalnego, jak sposób poruszania się danej osoby, a wszystko to jeszcze rejestruje taśma. Można oczywiście coś zamalować, ukryć, ale dziś, kiedy taśma jest tak czuła, że bezfilozoficznie pokazuje nawet meszek na twarzy przy oświetleniu tylko świeczką, nic się prawie nie da oszukać. Wiem coś o tym, mam w domu męża – operatora filmowego, z którym wielokrotnie pracowałam i tyśliakrotnie błagałam, zaklinałam, obiecywałam różne rzeczy za urodę, a on, od lat niezmiennie powtarza:

– Krysiu – nie da się, chyba że oświetlę jak „Dy-

nastię” czy „Isaurę” (czyli wszystko równo, bez półcieni), a tego nie możesz ode mnie wymagać.

Oczywiście kłamie trochę, bo wiadomo, że od operatora i jego „malowania” nas światłem zależy bardzo, bardzo wiele, my kobiety-aktorki, wiemy że wśród nich są tacy, którzy nie odróżniają nas od krzesła i tak nas fotografują. Ale... prawdą jest też, że w czasach Poli Negi, Smoserkiej czy nawet młodej Szafiarskiej czy Wysockiej, dało się zrobić dużo więcej, nie ujmując urodzie tych Pań. Dziś jest naga prawda, albo prawie naga (*omijając to, że w polskich filmach kobiety wyglądają wyjątkowo źle, no cóż... ambitne kino...*)

Jeśli chodzi o mnie, operatorzy na Zachodzie, szczególnie we Francji, uważają, że najgorzej wyglądam w filmach fotografowanych przez mojego męża, on natomiast, kiedy on dodaje mi charakteru, i niestety chyba ma rację.

Gdy piszę to wszystko, przemyka mi przez głowę wiele historii dotyczących charakteryzacji i charakteryzatorów, z którymi my, aktorki, mamy specjalne przyjaźnie, szczególnie podczas długich filmów, ale nęci mnie opisanie historii, którą usłyszałam opowiedzianą przez pana Gustawa Holoubka, pewnej nocy, na dworcu wrocławskim w trakcie czekania na jakiegoś ujele, w jakimś filmie...

Reżyserował „Warezwiankę” w telewizji. Zaproponował zagranie Starego Wiarusa Janowi Świdierskiemu, znanemu z umiejętności charakteryzacji i upodobania do klejenia nosów, uszu, itp.... W każdym razie Profesor po zaakceptowaniu propozycji, odbył rozmowę z p. Gustawem-reżyserem, i powiedział, że chciałby zerwać z dotychczasową tradycją grania tej roli w wielkiej charakteryzacji, wnoszącej na scenę atmosferę ciężkiej walki.

Stan, w jakim pojawia się Wiarus, postanowił zagrać bez tych „ustawień” – jak to nazywał.

Pan Gustaw, zdumiony i zaciekawiony zarazem, z niecierpliwością czekał na nagranie tzw. „wielkiego wejścia” w tej sztuce.

Nadszedł ten dzień. W studiu wszyscy podnieceni czekają na Wielkiego Świdierskiego. Mija godzina, dwie, trzy, Holoubek nieśmiało wysyła asystenta z zapytaniem – kiedy? – ten wraca z wiadomością, że Profesor się przygotowuje. Mija kolejna godzina, dwie, asystent wraca z wiadomością, że Mistrz prawie gotów.

Po kolejnej godzinie, wreszcie w ciszy, wstrząsająco zagrana scena, robiąca na wszystkich wrażenie, tylko że w postaci, która przed chwilą opuściła studio, nikt nie rozpoznaje Świdierskiego, tak był owinięty bandażami, obdarty, oblepiony wszystkim co możliwe i poroniony, a później dowiedziano się, że dodatkowo przed wejściem do studia, poprosił jeszcze o pół wiadra krwi (sic).

Ja pamiętam go z Teatru Ateneum, gdzie godzinami siedział samotnie, charakteryzując się przed każdym przedstawieniem Fryderyka Wielkiego...

Pozdrawiam Państwa serdecznie, zmęczona, spuchnięta przed kolejnym „rozwiązaniem”, z nie najlepszą cerą, w fatalnej formie (108 kg wagi, 89 cm obwód tydki, 678 cm klatki piersiowej), wiedząc, że 27 kwietnia, czeka mnie pierwszy dzień zdjęciowy w niemieckim filmie, w kostiumie kąpielowym, na basenie. (Rola – była tancerka.)

P.S. OŚWIADCZENIE.

Niniejszym oświadczam, że za poglądy mojej żony dotyczące sztuki operatorskiej nie odpowiadam.

Z poważaniem
EDWARD KŁOSIŃSKI
operator filmowy

